

Oda do radości

Dla Anny Dymnej najlepszą rolę napisało samo życie. Gra ją brawurowo, odkąd uwierzyła, że „sama może zrobić świat”. Aktorka mówi też o radości przez łzy i szczęściu mimo wszystko.

Są takie wydarzenia, które sprawiają, że człowiekowi odechciewa się żyć. Nagle umiera ktoś bardzo bliski, traci się dom, zdrowie. Ty wysłaś z tego obronną ręką, wręcz silniejsza...

Anna Dymna: Kiedy spaliło się nasze mieszkanie na strychu, śmiałyśmy się, rysowałyśmy projekty nowej łazienki, kuchni. Ale wtedy był przy mnie Wiesiek. Trzy miesiące potem zmarł. Nie potrafię powiedzieć, co wtedy czułam. W filmach bohaterka po stracie ukochanej osoby szaleje z rozpacz, płacze, wyrwa sobie włosy z głowy. W życiu tak nie jest. Nagle następuje cisza. Odepnienie. Pomógł mi zawód. Bo musiałam przyjść do teatru, umalować się, przebrać i wejść w inny świat, który dawał mi odpoczynek od mojej rzeczywistości. Działalam jak w transie i to chyba uratowało moje serce i mózg, mimo że byłam kompletnie załamana.

naJ A to był dopiero początek. Parę miesięcy później miałaś poważny wypadek samochodowy...

– Być może w ogóle bym sobie nie poradziła, gdyby nie ten wypadek. Kręciłam wtedy dwa filmy: „Do krwi ostatniej” w reżyserii Jerzego Hoffmana i „Węgierską rap-

sodię” Mikłosa Jancso. Na plan na Węgry jechałam samochodem z kierowcą, spieszyliśmy się. Na terenie Węgier zasnąłam. Obudziłam się w szpitalu z połamanymi żebrami, które powchodziły mi do płuc, z uszkodzeniami kręgosłupa, chwilowo sparaliżowana. Nie pamiętałam niczego. Wiedziałam tylko jedno: że chcę żyć. Traciłam, to znów odzyskiwałam pamięć, aż wróciła na dobre. Ale już patrzyłam na to inaczej. To tak chyba jest, że kiedy nagle tracimy wszystko, zaczynamy rozumieć, jaką wartością jest życie samo w sobie. Wtedy po raz pierwszy pomyślałam, że człowiek urodził się po to, by żyć i że największą radością jest to, że w ogóle oddycha.

Po wypadku zaczęłam tracić to, co trzymało mnie na powierzchni po śmierci Wieska, czyli rolę. Z roli u Jancsa musiałam zrezygnować, bo okazało się, że mam jeszcze złamaną miednicę. Hoffman powiedział, że zaczeka, aż wyzdrowieję. A ja leżałam w kolejnym szpitalu i litowałam się nad sobą: nie dam rady, nie wytrzymam, już nic mi się nie chce, nikt na mnie nie czeka. Mogę ćwiczyć i wracać do zdrowia, tylko po co? Żeby pokazywać się przed kamerami? To był zbyt słaby powód. **naJ** Ale to załamanie było chwilowe. Co sprawiło, że minęło?

– Większość czasu w szpitalu spędzałam w basenie, w którym mogłam ćwiczyć. Kiedyś stałam na jego brzegu i zobaczyłam, jak trzy dziewczyny ćwiczą i śmieją się. Rozdrażniło mnie to: jak mogą się śmiać i być szczęśliwe, skoro życie jest takie okropne?! Popatrzyłam na nie z nienawiścią i też zaczęłam ćwiczyć. Kiedy później wychodziłyśmy z basenu, okazało się, że jedna z tych dziewczyn nie ma nóg, druga ma tylko jedną, a trzecia jest częściowo sparaliżowana. Poczulałam straszny wstyd, że mam ręce, nogi, szansę na zdrowie i rozczulałam się nad sobą! Te dziewczyny – w ogóle o tym nie wiedząc – po-

mogły mi jak nikt na świecie. Oczywiście, miałam problem z samotnością, z tym, że jestem młodą kobietą, której jedyna miłość życia umarła – bo ja nie potrafię żyć tylko dla siebie. Ale okazało się, że wcale nie umarła. Poeci piszą, że miłość jest wieczna, że jest wszystkim, co istnieje, nigdy nie przemija – wtedy tego nie rozumiałam. A teraz to wiem. Jeśli miłość jest prawdziwa, to nigdy cię nie opuści.

Wiesiek nie żyje od 28 lat, a ja wiem, że on cały czas tu jest i mnie wspiera. Być może ja to w sobie wypracowałam, czepiając się życia? Potem miałam kolejne wypadki, ale już wiedziałam, że się nie poddam. Teraz, gdy na co dzień obcuje z ludźmi niepełnosprawnymi, widzę, jaką człowiek posiada siłę. I jak ja walczyłam o nią wtedy, w szpitalu, na przekór cierpieniu i bólowi. Patrzę na tych wszystkich ludzi bez nóg, rąk, przykutych do wózków, którzy cieszą się każdą chwilą. Bo oni wiedzą to, czego nie wiedzą ludzie zdrowi: że człowiek jest szczęśliwy, póki oddycha.

Najważniejsze, by obok był drugi człowiek

naJ Moja mama Dorota Terakowska, gdy leżała w szpitalu na oddziale onkologicznym, powiedziała: „Tu nie ma śmierci, tu jest życie! Młode dziewczyny biegają i przymierzają peruki... Panowie z kropłówkami wywijają rękami, rycząc przed telewizorem: Wisła, gola!”. A mnie szpital przerażał.

– Ja już przeszłam te bariery. W programie telewizyjnym „Spotkajmy się” rozmawiam z ludźmi śmiertelnie chorymi i często są to tak sympatyczne rozmowy, że ja zapominam, iż siedzi przede mną człowiek skazany na śmierć. Po 10 minutach zaczynamy mówić o życiu, a nie cierpieniu. To zdumiewające, bo człowiek umiera, a ja uczę się od niego radości. Ale zdarzyło mi się rozplakać na antenie. Siedziała koło mnie kobieta od lat przykuta do wózka i nagle powiedziała, że życie jest piękne. Zaczęła mówić, że ona nie może się ruszać, ale widzi, jak pięknie drgają liście na wietrze. Widzi, bo się zatrzymała. My pędzimy przed siebie i nic nie widzimy. Powiedziała, że jej życie ma sens, że jest potrzebna bardziej niż ktokolwiek inny. „Ale jakim cudem, do czego?” – spytałam oszołomiona. A ona na to: „Bo jak ktoś się na mnie popatrzy, to musi zdać sobie sprawę z tego, jaki jest szczęśliwy”.

Ryczałam jak głupia. Program nagrywany jest w Warszawie, potem wracam do hotelu. W pokoju nie mogłam znieść samotności i dzwoniłam do znajomych. Czytałam książki, głównie poezję, często do rana. Ja nawet z tym nie walczę, bo wiem, że to nie ma sensu. Mnie to po prostu czasami przerasta. Mimo wszystko mam w sobie radość. Bo ją się albo ma, albo nie. Potrafię zapomnieć, że młody chłopak, z którym rozmawiam, niedługo umrze, bo on nauczył mnie, żeby o śmierci rozmawiać normalnie, nawet radośnie. Ten chłopak, Bartek, już nie żyje. Był chory na mukowiscydozę. Pół roku przed śmiercią znalazł miłość, wziął ślub i zmarł uśmiechnięty w ramionach żony.

naJ Ale wielu z tych ludzi jest samotnych i po spotkaniu z tobą wraca do pustego mieszkania.

– Dlatego najważniejsze jest to, by człowiek miał kogoś obok siebie. Oni bardzo często przez chorobę są wpędzeni w sytuację, w której całkowicie się gubią. I jeśli ktoś jest z nimi, odbijają się. Poznałam dwóch chłopaków, Piotra i Jarka – dziś to już mężczyźni – którzy w wieku 17 lat weszli na linię wysokiego napięcia, zaczęli płonąć i stracili nogi. Są poparze-



Anna ma to, o czym Ania marzyła



W „Samych swoich” z Władysławem Hańczą.



Podczas zbierania pieniędzy dla swojej fundacji „Mimo wszystko”.



W spektaklu „Damy i huzary” na scenie Starego Teatru w Krakowie.

KWESTIONARIUSZ

ANNA DYMNA

Ma 55 lat i syna Michała. Jej partnerem jest reżyser Krzysztof Orzechowski.

znak zodiaku: Rak
najcenniejsze u ludzi:

uczciwość, pasja, poczucie humoru
antidotum na stres: głaskanie kotów („Serce się uspokaja”)

motto: uczciwie robić swoje

ZDJĘCIA: ERBE, EN (2), PAP, MAREK KOWALSKI

ni, oszpeconi, ale założyli rodzinę, jeden ma pięcioletnią córeczkę, uprawia sport na wózku, drugi jeździ na snowboardzie. Powiedzieli, że ich szczęściem było to, że mieli ten wypadek razem. Leżeli łożko w łożko w szpitalu i jak jeden się załamywał, to drugi go „kopał”. Spytałam: „Ale jak?”. „Mentalnie, bo przecież nie mamy nóg” – usłyszałam. Zaraz po wypadku myśleli, że życie się dla nich skończyło. Ale wspierała się nawzajem i to ich uratowało. Żartowali, że i tak nie zdążyli się do tych nóg przyzwyczaić.

naJ Teraz ja czuję się tak jak ty przy tym basenie w szpitalu. Nie zawsze potrafię cieszyć się tylko dlatego, że jestem zdrowa...

– Gdy byłam młoda, piękna i biegałam jak sarenka, to nie wiedziałam, czy jestem szczęśliwa, czy nie. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że jestem szczęśliwa, bo nie musiałam. Ale gdy człowiek traci wszystko, to potrafi czuć szczęście tylko dlatego, że widzi słońce za oknem. Są tacy, którzy nic nie widzą. Ostatnio na Festiwalu Zaczarowanej Piosenki w Krakowie rozmawiałam z niewidomym od urodzenia chłopcem. I prawie płakałam ze śmiechu, bo gadaliśmy o zwierzętach. Rozmowa ze ślepym o zwierzętach! Pytam go: „A ty wiesz w ogóle, jak wygląda słoń, wąż albo zaba?”, a on: „Pewnie, że wiem! Stoniowi dawałam trawę, a on jadł ją trawą, wąż chodził mi po szyi, maciałem zabę, jaszczurkę i dziką świnię”. Rozpieęła go energia i radość. A ja też radość przejmuję.

naJ Wzięłaś na siebie odpowiedzialność do końca życia.

– Wiem, ale jest na to metoda. Dlatego między innymi założyłam fundację, w której pracują ludzie, którzy mają taki sam stosunek do niepełnosprawnych jak ja. Uważnie zatrudniam ludzi, ale mam do nich szczęście. Sami przychodzą i potrafią pracować za darmo do pierwszej w nocy.

naJ Masz w sobie coś takiego, że ludzie chcą ci pomagać.

– Może dlatego, że ja nie zębrzę, nie błagam, tylko robię to wszystko z radością. Ludzie to widzą. Jeden z moich pracowników napisał do mnie: „Pani Aniu, jestem taki szczęśliwy, bo codziennie jestem świętym Mikołajem”. Nie ma nic lepszego od poczucia, że robi się coś dobrego dla innych. Nie podejrzewałam nawet, że wywołam taką lawinę, że tylu ludzi, także bardzo znanych, przyłączy się do mnie. A mam jeszcze szalone pomysły. Przez dwa lata walczyłam o ziemię nad morzem w starej jednostce wojskowej, i wywalczyłam! Powstanie tam ośrodek „Spotkajmy się” – nie



Z Mateuszem i Ewelina, podopiecznymi fundacji „Mimo wszystko”. Fundacja prowadzi kampanię na rzecz budowy ośrodka wczasowo-rehabilitacyjnego dla osób niepełnosprawnych „Spotkajmy się” w Lubiatowie.

sanatorium ani szpital – dla tych, którzy stracili grunt pod nogami.

naJ A nie boisz się, że nagle zjedzie tam pół Polski?

– Jak się już robi coś takiego jak ja, to z jednej strony trzeba działać emocjonalnie i radośnie – to podstawa tego działania – ale z drugiej – konkretnie i precyzyjnie. Pomagać trzeba mądrze. Wiedzieć komu i dlaczego. Codziennie ktoś przychodzi do fundacji z prośbą o pomoc. Często mówię: „Jeżeli zobaczę, że sam się starasz, to ci pomogę”. Tak jak temu chłopakowi, który prosił o dziesięć tysięcy, bo nie miał gdzie mieszkać i zalegał za prąd, a był po chorobie Heinego-Medina. Wy tłumaczyłam mu, że musi iść do spółdzielni, wyjaśniłam, co ma robić, dałam pismo popierające i w ciągu kilku miesięcy dostał mieszkanie. Kiedy ktoś prosi o pieniądze, zawsze sprawdzam, co zrobił, by siebie ratować. Jeśli nic, to pokazuję, co może zrobić, by po-

Każda rzecz i każdy człowiek ma swój czas

prawić tę sytuację. Ludzie często nie wiedzą, że sami mogą sobie pomóc.

naJ Z uporem powtarzasz, że jesteś zupełnie zwyczajna. Ale czy chcesz tego czy nie, nie jesteś i nigdy nie będziesz „zwyczajna”. Większość ludzi myśli tylko o sobie. Ty nie tylko kosztem prywatności pomagasz innym, ale też nie wpadałaś w pułapkę, w którą wpadają piękne aktorki, które grają role matek, a wciąż chcą grać córki...

– Bo ja znam takie kobiety i widzę, jakie są nieszczęśliwe. Całą energię i talent wkładają w to, by wyglądać młodszej, szczuplej. Są tym opętane! Życie jest za krótkie na takie rzeczy. I tak się zestarzejemy. Każda rzecz i każdy człowiek ma swój czas. Byłam młoda, piękna, szczupła, do 34. roku życia wyglądałam, jakbym miała osiemnaście, ale urodziłam dziecko i się zmieniłam. Coś straciłam, ale i coś zyskałam. Straciłam zapewne część widowni. Dostaję listy na ten temat. Ktoś napisał: „A idźże ty zapyziały misiu!”, inny: „Po co tyle zresz?”. Ale to problem tych ludzi, nie mój. Taka jaka jestem, ciągle komuś się przydaje.

naJ Wciąż dostajesz listy?

– Setki, całe setki listów. Z prośbami, groźbami. Dostaję anonimy, w których czytuję, że „udaję dobrą, żeby wpychać się przed kamery, błyszczyć na scenie”. Piszą też ludzie chorzy psychicznie. Żaden list nie pozostaje bez odpowiedzi. Mam asystenta, który zajmuje się ich segregacją, sama nie poradziłabym sobie.

naJ Masz 55 lat. O czym marzyła Ania Dymna, a o czym marzy Anna Dymna?

– Nic się nie zmieniło. Marzyłam, żeby móc ze swojego pokoju wyjść do ogrodu, posadzić poziomki, a potem je zjeść. Marzyłam o ogrodzie i go mam. Bo mój dom to, jak ktoś powiedział, „taka psia budka”. Za to do ogrodu przychodzą koty, jeże, ropuchy... Posadziłam w nim ze trzysta roślin, niektórym nadałam imiona. Umiem cieszyć się tym, co jest. Może zawód mnie tego nauczy? Jeśli pewnego dnia obudzę się

i nie będę miała dokąd iść ani co robić, to poczuję się niepotrzebna i opuszczona. Tworząc fundację „Mimo wszystko”, zapewniłam sobie zajęcie na najbliższe pięćset lat.

naJ Dlaczego „Mimo wszystko”?

– Szukałam nazwy dla fundacji, a fundacje w Polsce źle się kojarzą. Postanowiłam ją mimo wszystko założyć. Przypomniałam sobie, jak kiedyś podeszła do mnie grupa młodych, mówiąc: „Pani Aniu, jakby kiedyś było pani smutno, to proszę to przeczytać”. I wręczyli mi kartkę.

Był na niej tekst, który jest wyryty na ścianie przytulku dla bezdomnych dzieci w Kalkucie. Nosi nazwę „Mimo wszystko”. A brzmi tak: „Ludzie będą cię oskarżali o egocentryzm, o to, że robisz to dla siebie, ale pomagaj mimo wszystko. Zbudujesz dom, zniszczą ci go w ciągu jednej nocy czy się zawali – buduj mimo wszystko. Będziesz zyskiwał fałszywych przyjaciół i prawdziwych wrogów, robiąc coś takiego, ale kochaj ludzi mimo wszystko...”.

naJ Trudne zadanie.

– Ale jednak możliwe do wykonania. Jak dostaję kopa od kogoś, to myślę sobie: mimo wszystko warto. I myślę o Danusi, żonie Bartka, który umarł z uśmiechem w jej ramionach. Pytanie jej, po co ona z nim była, nie ma w ogóle najmniejszego sensu. Oni wspólnie w jakiś sposób zdolali przechrztyć śmierć, zrobili ją w konia, zabrali jej całą groźbę. Bo wprawdzie śmierć zabrała Bartka, ale nie zwyciężyła. Zatem mimo wszystko – warto.

Rozmawiała
Katarzyna T. Nowak